

P.S. HERYTIERA
[PIZGACZ]

BURN the HELL

RUNDA
TRZECIA



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Redaktor: Beata Stefaniak-Maślanka

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/burth1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-9065-2

Copyright © P.S. Herytiera 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Prolog

Ukojenie. Jedno słowo mające tyle znaczeń. Jedyne, czego tak bardzo pragnęłam po kolejnych uderzeniach rozrywającego wnętrza bólu, to słodkiego ukojenia w naszym życiu pełnym zła i nienawiści. Poczucia, że chociaż przez jeden moment wszystko jest dobrze, że wszystko ułożyło się po mojej myśli. Zaczęło się niewinnie, chciałam kropli radości, która przerodziła się w morze podekscytowania. Chciałam być po prostu szczęśliwa z Tobą u boku.

Jednak los znów sobie ze mnie zażartował. Powinna była się już do tego przyzwyczaić. Od zawsze to my, jako wielcy zbuntowani, musieliśmy walczyć ze złem w otaczającej nas plugawej rzeczywistości, choć ludzie wokół uważali, że sami wywołaliśmy to zło. Tylko garstka znała prawdę. Tylko nieliczni nas rozumieli.

Mawiają, że piekło to miejsce pełne demonów, potępionych dusz, ognia i siarki. Wokół mnie nie było rozszalałych płomieni, ale mroczne anioły cieszące się z naszego nieszczęścia często siadały na moich ramionach i z chorą satysfakcją patrzyły na tragedie, przez które upadaliśmy. Nie dałam rady dłużej walczyć, za co Cię przepraszam. Teraz już wierzę. Wierzę w każde Twoje słowo i w to, że miejsce w samym środku piekła czeka na nasze rozbite, samotne dusze. Wierzę Ci.

Więc błagam, spal to wszystko. Chcę widzieć ogień w ich martwych oczach.

Złudne szczęście

Według teorii mojego nieżyjącego już dziadka największe zalety człowieka to niezłomność i ogromne pokłady cierpliwości. Nigdy za nim nie przepadałam — był apodyktyczny i gburowaty — ale w tej jednej kwestii musiałam się z nim zgodzić. W końcu wytrzymał kilkadziesiąt lat z moją babką, więc musiał znać się na rzeczy. Dokonać tego mógł tylko człowiek ze stali, z mocnymi nerwami. Niestety gdyby zapytano mnie, czy ja miałam wymienione cechy, moja odpowiedź byłaby przecząca. Ich rozwinięcie skutecznie uniemożliwiała mi jedna osoba, która urodziła się po to, aby być moim wiecznym utrapieniem.

Zazgrzytałam zębami i rozejrzałam się po skąpanej w mroku sypialni Theodora. Ciemne rolety jak zwykle zasłaniały okna, skutecznie blokując dostęp promieniom słonecznym. Oparłam ręce na biodrach, obserwując z niesmakiem piętrzący się bałagan, który zajmował dziewięćdziesiąt osiem procent pokoju. Pozostałe dwa procent to sufit. Zmrużyłam oczy i automatycznie zerknęłam w to miejsce. Nie musiałam nawet wyteżać wzroku, aby dostrzec zwisające z niego pajęczyny. Teraz to już całe sto procent.

Przewróciłam oczami i znów ulokowałam spojrzenie w Theo.

— Ile razy będziemy to jeszcze przerabiać?! — wrzasnęłam, tracąc resztki cierpliwości.

Dziadek nie byłby ze mnie dumny.

Mimo wysokich decybeli mój brat ani drgnął. Wciąż smacznie spał, zawinięty jak naleśnik w swoją śmierzdzącą kołdrę. Westchnęłam rozdrażniona i w myślach policzyłam do dziesięciu. Nie widząc innego

wyjścia, ruszyłam przed siebie. O mało nie potknęłam się o porozrzucane po podłodze ubrania, książki, gry, papierki po jedzeniu i inne niezidentyfikowane rzeczy, których nawet nie umiałabym nazwać. Gdy cudem dotarłam do jednego z okien, z satysfakcją pociągnęłam za sznurki. Rolety się zwinęły, a do wnętrza pomalowanego na granatowo pokoju wtargnęło światło słoneczne.

— Co do...! — krzyknął mój brat, w końcu się budząc.

Wykonał szybki, chaotyczny ruch na łóżku, a przez to, że leżał na skraju materaca, źle oszacował odległość. Jego długie, patykowate ciało runęło z łomotem na jasne panele. Jęknął łamiącym się głosem, ciągnąc za sobą pościel. Z policzkiem przyciśniętym do podłogi szybko mrugał, jak gdyby chciał zrozumieć, co się stało.

— Czasami zastanawiam się, jak to jest być aż taką porażką życiową — mruknęłam wrednie, zakładając ręce na piersi.

Theodor burknął coś pod nosem i spojrzał na mnie zza kurtyny swoich gęstych włosów, które opadły mu na twarz.

— A potem patrzysz w lustro i już znasz odpowiedź — odgryził się niezbyt górnolotnie, po czym wyciągnął rękę w moją stronę. — Pomóż mi.

Gdyby nie to, że byliśmy już spóźnieni, prawdopodobnie całkowicie bym go zignorowała. Jednak czas naglił, a ja nie miałam ochoty słuchać monologów mamy na temat tego, że przynosimy jej wstyd przed nauczycielami.

— Oby spod tej sterty brudu nie wylazły żadne robaki — mruknęłam, torując sobie drogę do brata, co było nie lada wyzwaniem.

— Jedynym robakiem w tym pomieszczeniu jesteś ty — fuknął.

— I to pudełko po jogurcie, w którym wyhodowałaś jakiegoś nowego rodzaju grzyba — dodałam i na potwierdzenie swoich słów z odrazą kopnęłam opakowanie, które minęłam. — Jesteś obrzydliwy, wiesz?

Z tymi słowami chwyciłam jego dłoń i pomogłam mu wypłatać się z pościeli. Odrzuciłam ją na bok, spojrzałam na wykrzywioną w grymasie twarz chłopaka ubranego w same bokserki i przewróciłam oczami.

— Nie mógłbyś chociaż raz wstać sam z siebie? Zawsze to ja muszę cię budzić, a nienawidzę tego robić, dobrze o tym wiesz.

— Dlatego nigdy nie nastawiam budzika. Jesteś moim prywatnym błaznem — zakpił, uśmiechając się wrednie i jakby od niechcienia.

Przetarł dłońmi oczy, a potem głośno ziewnął, przez co natychmiast cofnęłam się o dwa kroki.

Skrzywiłam się ostentacyjnie, w ostatniej chwili hamując odruch wymiotny.

— Człowieku. Jebie ci z ust gorzej niż naszemu psu — wyplułam z siebie, przykładając dłoń do nosa, aby nie wdychać tych trujących oparów. — Kiedy ty myślisz zęby? W tamtym dziesięcioleciu?

— Tak, dokładnie wtedy, gdy ty byłeś na swojej ostatniej randce — dociął mi z głupim uśmiechem, klepiąc się po płaskim brzuchu i wystających żebrach.

— Coraz częściej mam przed oczami wizję twojej głowy pływającej w słoiku — odparłam. Nie miałam ochoty na dalsze potyczki słowne z tym imbecylem. — Czekał na ciebie na dole. Masz tylko dziesięć minut.

Z tymi słowami zaczęłam wycofywać się z tej jaskini wikinga, który chyba jeszcze nie odkrył, co to higiena.

— To aż dziesięć minut.

Zdecydowałam się pójść do kuchni, aby wypić poranną kawę. Zbiegłam po schodach, po drodze zgarniając swoją czarną torebkę, która leżała na jednym ze stopni. W kuchni pachniało jajecznicą i parzoną herbatą. Podeszłam do blatu i zerknęłam na Kota, który pałaszował swoje śniadanie z metalowej miski.

— Cześć, stary — przywitałam się, głaszcząc go po głowie.

Nalałam kawy do kubka, powtarzając w pamięci materiał do testu z trygonometrii, który miał odbyć się tamtego dnia. Umiałam sporo, ponieważ powtarzałam to z korepetytorem przez kilka spotkań, jednak wciąż czułam się niepewnie. Nagle ciszę i spokój zakłóciła Joseline, która weszła do kuchni.

— Głodna? Zrobiłam jajecznicę — zaoferowała, poprawiając włosy splecione w warkocz. Wciąż miała na sobie szlafrok, a w dłoni trzymała swoją ulubioną filiżankę.

Pokręciłam głową.

— Na pewno nie? Może zjedz chociaż jabłko — dodała zmartwiona. — Mało ostatnio jesz.

— Nie jestem głodna. Kawa mi wystarczy — powiedziałam nieco oschlej, niż miałam w zamiarze.

Mama spojrzała na mnie z naganą, ale zignorowałam to, dopijając kawę.

Oparłam się tyłem o blat, wciąż czując na sobie intensywne spojrzenie błękitnych oczu Joseline. Ten dzień nawet dobrze się nie zaczął, a ja już miałam go dość. Nienawidziłam środowych poranków. Wielu ludzi nie znosiło poniedziałków, ale ja zaliczałam się do tych, dla których to cholerny trzeci dzień tygodnia był totalną masakrą, bo tak dużo było za mną i tak wiele jeszcze przede mną. W środy statystycznie zdarzało mi się najwięcej nieprzyjemności. Były po prostu okropne.

— Theo wstał?

Prychnęłam w odpowiedzi na jej pytanie, dolewając sobie jeszcze trochę kawy.

— Zaraz przyjedzie po was Erik. Nie chcę, żeby czekał — wyjaśniła.

— Jeśli nie chcesz, to następnym razem ty budź swojego obrzydliwego syna — zażądałam.

— Nie wejdę do jego pokoju za nic w życiu. Za każdym razem, gdy to robię, wychodzę z jakąś wysypką — postawiła sprawę jasno, co skwitowałam lekkim grymasem, ale i tak uniosłam kącik ust.

Ruszyłam w stronę salonu w tym samym czasie, gdy na dół schodził jak zwykle niezadowolony Theo z plecakiem Adidas zawieszonym na ramieniu. Jedną ręką poprawiał już nieco przydługie włosy, które usilnie próbowały wydostać się spod jego beanie. Tę dostał ode mnie na święta. Chodził w niej często, mimo że na początku poprzysiągł, że w życiu jej nie założy, bo z pewnością ją przeklełam, a on nie chce, by wypadły mu włosy. Zidiocenie mózgu.

Wyszedłam z domu, nie czekając na brata. Prawie jednocześnie na podjazd wjechał złoty cadillac chłopaka mojej mamy. Erik podwoził nas do szkoły, ponieważ mój mercedes był u mechanika. Było to miłe z jego strony, bo dzięki niemu nie musieliśmy tłuc się autobusem.

Na zewnątrz było bardzo ciepło. Promienie słoneczne przebijały się przez chmury, a delikatny wiatr łaskotał mnie w plecy i rozwiewał moje jeszcze lekko wilgotne po porannym prysznicu włosy.

Idący przy moim boku Theo postanowił być zabawny i lekko mnie popchnął, przez co zatoczyłam się, cudem unikając wpadnięcia w lilie rosnące w ogródku. Chłopak zarechotał głośno na ten widok, przez co zacisnęłam usta w wąską linię i bez zastanowienia uderzyłam go z pięści

w brzuch. Zgiął się w pół, wciągając głośno powietrze, a ja z wysoko uniesioną głową pomaszerowałam w stronę drogiego auta Erika. Włożyłam telefon do kieszeni swoich szarych dresów ze ściągaczami na kostkach i wpakowałam się do samochodu na miejsce pasażera. Theo wtoczył się na tylne siedzenie zaraz za mną.

— Cześć — przywitałam się i z uśmiechem, który pojawił się na mojej twarzy automatycznie, spojrzałam na mężczyznę.

Erik jak zwykle wyglądał bardzo dobrze. Lekko przyprószone siwizną włosy miał gładko zaczesane, ubrany był w niebieską koszulę i spodnie od garnituru, a na jego nadgarstku połyskiwał złoty zegarek. Zawsze był elegancki, ale co się dziwić? W końcu był uznanym prawie pięćdziesięcioletnim lekarzem, który musiał dobrze się prezentować.

— Cześć. Jak samopoczucie? — zapytał wesoło, wyjeżdżając na ulicę prowadzącą do centrum miasta.

— Idziemy do budy, więc gówniane — burknął Theo przytłumionym głosem gdzieś z tyłu. — No, chyba że jesteś turbokujonem Victorią Clark. Ona to się cieszy, że tam idzie.

Przez ironię w jego głosie, która była wyraźnie słyszalna, przewróciłam oczami. W ostatnim momencie powstrzymałam chamską odpowiedź, która cisnęła mi się na usta.

— Powinieneś brać przykład z tego turbokujona — odpowiedział Erik. — Twoje wyniki w nauce, w porównaniu z jej, wołają o pomstę do nieba. Victoria myśli o przyszłości, więc się uczy, aby dobrze zdać egzaminy.

— Tak. Na pewno dlatego — sarknął Theo i choć go nie widziałam, po samym tonie jego głosu wywnioskowałam, co myślał o teorii Erika.

Skrzyżowałam ręce na piersi, skupiając wzrok na widoku za szybą. W czwartą klasę weszłam z przytupem, jeśli chodzi o naukę. Praktycznie od pierwszego dnia, w którym przekroczyłam próg Culver High School po wakacjach, wkuwałam wszystko. Często zarywałam nocki pośród sterty zeszytów i podręczników, a czasami zasypiałam wykończona w trakcie pisania notatek. Cisnęłam samą siebie i według niektórych robiłam to za mocno. Powtarzałam sobie, że to przez egzaminy końcowe, od których wyniku zależało, na jaką uczelnię pójdę, ale prawda była taka, że lubiłam mieć zajęcie, tak by nie myśleć. Padło na szkołę.

Łatwo nie było, bo moja zmiana nastawienia do nauki była powodem docinków moich bliskich. Oczywiście mama i Erik byli bardzo dumni, bo lepszych wyników nie miałam nawet w podstawówce, ale moi przyjaciele i brat nie bardzo rozumieli mój zapał i nie podobał im się z jednego powodu. Według nich przez szkołę zapomniałam o życiu. Na imprezie nie byłam od wieków, z domu nie wychodziłam, a jeśli już cudem znalazłam się poza nim, to zazwyczaj szybko do niego wracałam, aby zrobić jeszcze jakąś powtórkę. W pełni rozumiałam ich zdenerwowanie, bo strasznie zaniedbywałam relacje towarzyskie, ale musiałam się odciąć, a nauka była dobrym pretekstem. Lepiej było skupić się na powtórkach z hektolitrami kawy, energetyków i przy bardzo małej ilości snu, niż... myśleć. Szkoła, prace domowe, w międzyczasie jakiś posiłek — i tak w kółko. To stało się moją codziennością. Pasowało mi to albo po prostu chciałam, by mi pasowało.

Było dobrze.

Po piętnastu minutach, podczas których siedziałam cicho, nie słuchając gadania Erika i Theo, podjechaliśmy pod budynek szkoły. Jak zwykle większość miejsc parkingowych była zajęta. Uczniowie błakali się po placu w grupkach, rozmawiając i śmiejąc się. Chłopcy z drużyny koszykarskiej okupowali kilka miejsc przy samochodzie Adama Allmana, który po odejściu Paula Harrisa studiującego teraz na Uniwersytecie Columbia stał się nowym „prezesem” naszego liceum. Nikt go nie lubił, bo był zarozumiały i myślał, że wszystko mu wolno, skoro dyrektor był jego ojcem chrzestnym. Poza tym jednym szczegółem Culver High School nie zmieniło się dla mnie jakoś specjalnie.

— Powodzenia w szkole! — rzucił na odchodne Erik.

Szybko odpięłam pas i chwyciłam swoją torebkę. Razem z Theo wysiedliśmy z samochodu. Ruszyliśmy przez zatłoczony parking w stronę wejścia do szkoły.

— Mam pierwszą chemię. Przecież ja się zajebię — jęknął Theodor. — Albo najpierw naszą nauczycielkę. Tak, to lepszy pomysł. Potem odstrzelę ministra edukacji, a na końcu samego siebie. Świetny plan.

— Nie marudź. Zrobiłam ci ściągę i na luzie dostaniesz z nich B. Wiesz, że u Papermana można ściągać do woli — uspokajałam go, jednocześnie denerwując się, że inni uczniowie chodzili tak strasznie wolno.

Doprowadzało mnie to do szału, bo nie dość, że pałętali się wszędzie, to jeszcze jak żółwie, i blokowali dosłownie cały parking.

— Niby tak, ale samo patrzenie na te ściągi powoduje u mnie wymioty. Ja po prostu nie trawię chemii. — Westchnął ciężko, zaciskając palce na pasku plecaka.

Przewróciłam oczami, choć trochę go rozumiałam. Mimo że w czwartej klasie miałam z tego przedmiotu B, to też go cholernie nie znosiłam, a na myśl o wzorach i pierwiastkach czułam, że oszaleję. O Theo się nie martwiłam — był mistrzem ściągania. Potrafił zerznąć każde zadanie na poprawce z biologii, na której był jedynie on i profesorka siedząca naprzeciw niego. Mój brat pod tym względem był bezapelacyjnie królem.

W końcu weszliśmy do budynku szkoły. Zmarszczyłam nos, czując ten charakterystyczny zapach, który panował tylko tam i którego nienawidziłam. Rozejrzałam się dookoła, poszukując wzrokiem kogoś znajomego. Nie musiałam długo szukać.

— W końcu są i nasi!

Uniosłam kącik ust, gdy do moich uszu dotarł wysoki głos Mii Roberts. Dziewczyna, która jeszcze dwie sekundy wcześniej znajdowała się obok grupki trzecioklasistek, stała już przy mnie z kubkiem kawy w dłoni i swoim popisowym uśmiechem na ustach. Ubrana jak zwykle na różowo, z wyprostowanymi, zjechanymi od rozjaśniania włosami, prezentowała się tak, jak większość dziewczyn chciałaby wyglądać.

— Już myślałam, że zjadły cię te twoje notatki — zakpiła, gdy we trójkę zaczęliśmy zmierzać w stronę naszych szafek.

Puściłam jej uwagę mimo uszu, w przeciwieństwie do Theo.

— Było blisko. Obstawiam, że jeszcze tydzień i wykresy funkcji trygonometrycznej ją uduszą — dociał mi z wrednym uśmiechem.

— Ty nawet nie wiesz, jak wygląda ten wykres — odparłam głosem wypranym z emocji.

— Idziemy dziś do galerii? Mają dostawę, a ja muszę w końcu kupić nową torebkę. Potem skoczyłybyśmy do Killer's Cave — zmieniła temat Mia, zarzucając swoimi blond włosami.

Pokręciłam głową, otwierając swoją szafkę. Przeskanowałam ją szybko wzrokiem, aby znaleźć odpowiedni zeszyt.

— Jutro mam test z francuskiego i muszę się uczyć — odpowiedziałam, nawet nie patrząc na przyjaciółkę.

— Och, przestań. Kujonizm zostaw na później. Chociaż raz — poprosiła mnie i niemal czułam, jak wypala mi wzrokiem dziurę z tyłu głowy. — Nie chcę być niemila, ale istnieją inne rzeczy oprócz nauki. Równie ważne. I ludzie, którzy też powinni być dla ciebie ważni.

— Jeśli nie chcesz być niemila, to po prostu nic nie mów — palnęłam dużo ostrzej, niż planowałam.

Mia uniosła brwi, posyłając mi groźniejsze spojrzenie. Odchrząknęłam i pokręciłam głową.

— To ważny test. Nie mogę go zawalić.

W końcu udało mi się wyciągnąć cienki zeszyt spod kilku wielkich podręczników. Zatrzasnęłam drzwiczki szafki i odwróciłam się w stronę Mii i Theo. Niemal jęknęłam, widząc w ich spojrzeniach podobną irytację. Oboje unosili lewą brew w ten denerwujący sposób, który doprowadził mnie do szewskiej pasji. Jeszcze Chris, moja matka i mielibyśmy komplecik.

Z opresji uratował mnie Adams, który wyłonił się z tłumu dzieciaków. Tanecznym krokiem szedł w naszą stronę.

— Boże, kocham swoje nowe jeansy. Przez nie mój tyłek wygląda lepiej niż tyłek niejednej laski z Instagrama! — zawołał, witając nas uśmiechem.

— Tak, są cudowne — powiedziałam z zapałem, aby reszta zapomniała o poprzednim temacie.

Niestety Mia Roberts była jak osioł. Uparty osioł z różowymi panokkami i doczepianymi rżęsami.

— Chcę iść dziś z Victorią do galerii, ale ona znowu zamierza się uczyć — poskarżyła się jak pięcioletnia dziewczynka. — Powiedz jej coś — rzuciła do Chrisa, na co chłopak zmarszczył brwi.

— Vic obiecała mi, że pójdzie ze mną na spotkanie grupy wsparcia — odparł, a ja wytrzeszczyłam oczy. Kompletnie o tym zapomniałam, ale ta sytuacja uratowała mnie z opresji. — Jesteś pewna, że chcesz jechać ze mną na to spotkanie? — zapytał mnie niepewnie. — Wyglądasz na zmęczoną.

— Tak, pojedę z tobą. — Uśmiechnęłam się z wdzięcznością i zerknęłam ze sztuczną skruchą na Mię.

Dziewczyna przewróciła oczami, ale byłam pewna, że w tych okolicznościach nie będzie nalegać.

Chris uczęszczał na spotkania grupy wsparcia dla ludzi uzależnionych od momentu, gdy wrócił z odwyku. Odbywały się w sali tanecznej na obrzeżach miasta. Mimo że nie brał od dwudziestu paru miesięcy, lubił tam chodzić. Kilkukrotnie poszłam na takie spotkanie razem z nim, aby go wesprzeć, bo mnie o to poprosił. Tak było i tym razem. Zapytał mnie o to parę dni wcześniej, a ja od razu się zgodziłam. Uratowało mnie to przed Mią.

Moje myśli przerwał dzwonek na lekcję. Na szczęście skończyło się bez umoralniających gadek moich przyjaciół, którzy od jakiegoś czasu regularnie wytykali mi, że zamiast czerpać z życia w stu procentach w naszym seniorskim roku, ja zamykam się w swojej pieczarze i z nikim nie rozmawiam. Unikałam ludzi? Być może, ale miałam to gdzieś. Może w ocenie znajomych marnowałam nasz ostatni rok w Culver City, ale nie przejmowałam się tym. W końcu to ja tak zdecydowałam.

Przeniosłam wzrok na Theo, który pisał coś na swoim telefonie.

— Powodzenia na chemii — rzuciłam.

— Nawet nie przypominaj. — Westchnął ciężko, chowając urządzenie do tylnej kieszeni spodni. — Jeśli to zdam, to się upiję — zdecydował, po czym wzruszył ramionami. — W sumie jeśli nie zdam, to też się upiję. Tak czy siak, kupię alkohol.

Ruszył jak na ścięcie za tłumem w stronę swojej sali na znienawidzoną lekcję. Chris czmychnął na biologię. Ja z Mią pomknęłyśmy do sali od literatury, gdzie miałyśmy zajęcia. Weszłam do środka, zerkając na swoje miejsce w pierwszej ławce pod ścianą. Kilkoro uczniów jeszcze rozmawiało, a w pomieszczeniu panował ogólny harmider. Położyłam swoją torebkę na małym stoliczku, odsunęłam krzesło i usiadłam. Mia zrobiła to samo ławkę za mną, głośno wdychając.

— Dzień dobry państwu w tę cudowną środę, kiedy to z samego rana zepsuł się mój samochód, po czym uciekł mi autobus!

Uśmiechnęłam się lekko na słowa profesora Pattersona, który wszedł do sali z plikiem kartek pod pachą, kubkiem kawy w dłoni i grymasem na twarzy. Bardzo lubiłam naszego nowego nauczyciela literatury. Z poprzednim miałam, delikatnie mówiąc, niezbyt miłe wspomnienia po tym, jak sobie ubzdurał, że mnie zabije.

Patterson był świetny i doskonale znał się na swoim fachu. Był mężczyzną po czterdzieście z włosami czarnymi jak noc. Po wejściu do sali

położył swoje rzeczy na biurku, a następnie oparł się o nie tyłem i spojrzął kolejno na każdego z uczniów, aż w końcu zapanowała cisza. To był jego rytuał. Nie krzyczał, nie błagał o ciszę, po prostu patrzył i czekał, aż sami zamilknjemy. I działało. Oparłam się wygodnie o oparcie krzesła, czując, jak Mia zaczyna bawić się moimi włosami. Skrzyżowałam ręce na piersi, czekając, aż Patterson zacznie temat.

— I jak. Lektura przeczytana? — spytał.

Po sali rozniósł się lekki szmer, a kilka osób kiwnęło głowami.

— Więc co powiecie mi o *Pięknych i przeklętych* pana Fitzgeralda?

— Bardzo głupia książka.

Kilka osób parsknęło śmiechem w reakcji na opinię Jerry'ego, który siedział w środkowym rzędzie przy końcu. Patterson uniósł brwi, wbił oczy w chłopaka, a ja usiadłam lekko bokiem, aby popatrzeć na tę scenkę tak jak reszta klasy.

— Cóż za wnikliwa analiza, panie Jankins. Żaden krytyk by się jej nie powstydział — mruknął profesor, odstawiając kawę. Skrzyżował ręce na piersi, kiwając głową. — A może rozwinąłby pan swoją myśl?

— Prawda jest taka, że główny bohater to zwykły nierób, który myśli, że sukces należy mu się ot tak, bez żadnej pracy. Gloria to materialistka myśląca jedynie o kasie, a jak ta kasa się kończy przez ich rozrzutność, to jest wielce oburzona. I jaki jest sens we wspólnym życiu, które opiera się jedynie na kłótniach i godzeniu się, i tak w kółko? Niby wielka miłość, a jak przyszło co do czego, to nałogowo się zdradzali — wyrzucił z siebie, ostentacyjnie się przy tym krzywiąc.

Przeniosłam wzrok z chłopaka na profesora, który z zamyśloną miną stał w tej samej pozycji co wcześniej.

— Kto się zgadza z opinią naszego kolegi? — zapytał w końcu, rozglądając się dookoła.

Nie minęły nawet dwie sekundy i wszyscy mieli dłonie w górze. Ja też, bo mogłam przysiąc, że tak nadętej lektury, niewnoszącej nic do mojego życia, już dawno nie czytałam. Chociaż tytuł był zachęcający.

Patterson westchnął ciężko i potarł swoje czoło, chyba zastanawiając się, co ma powiedzieć i jak ubrać swoje myśli w słowa. Miał przed sobą piętnastoro nastolatków negatywnie nastawionych do tematu lekcji. Aż mu współczułam.

— Muszę się z wami zgodzić, ale tylko po części. Fitzgerald porusza tu ważne i trudne tematy władzy, dążenia do bogactwa i alkoholizmu. No i miłości.

Zrobił krótką przerwę, odchrząkując. Znowu rozejrzał się po sali, a jego wzrok padł na mnie. Chwilę nad czymś myślał, po czym wskazał mnie palcem, uśmiechając się.

— A ty, Victorio? Co sądzisz o głównych bohaterach? — zapytał z lekkim uśmiechem, czekając na moją reakcję.

Przez moment rozmyślałam nad odpowiedzią. Boże, jak ja nie znośiłam wypowiadać się publicznie.

— Para snobów, którzy myśleli, że poznali definicję miłości, bo spędzili ze sobą kilka chwil — odparłam spokojnie, nawiązując z nim kontakt wzrokowy.

— A myślisz, że tak się nie da?

Parsknęłam krótkim śmiechem, kręcąc głową.

— Aby kogoś kochać, trzeba go znać. Nie ma czegoś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia. To nie istnieje. Człowieka powinno się kochać za charakter, a żeby go poznać, potrzeba sporo czasu. Inaczej będzie się mocno żałować.

— Pierwszy raz spróbowałem amfetaminy, gdy miałem trzynaście lat — powiedział wysoki, nieco wychudzony mężczyzna, który siedział po mojej lewej stronie kilka krzesełek dalej. Nerwowo wyłamywał palce, unikając wzroku każdego z obecnych. — Moja matka była uzależniona i trzymała w domu prochy. Często na mnie krzyczała i znęcała się nade mną. Gdy wciągała, mówiła, że robi to, bo chce się odstresować. Też w końcu postanowiłem się odstresować, żeby na chwilę zapomnieć o swoim życiu. I udało się. Pierwszy raz nie czułem dosłownie niczego. Była pustka i ona przyniosła mi złudne szczęście. Nie czułem już bólu. Potem robiłem to częściej.

Z gulą w gardle przysłuchiwałam się kolejnej tragicznej historii obcej mi osoby, która poruszała mnie do głębi. Nigdy nie odmawiałam Chrisowi, gdy prosił, bym przyjechała z nim na spotkanie grupy wsparcia. Chciałam być dla niego oparciem, ale czasami bywało trudno.

Szczególnie wtedy, gdy wysłuchiwałam, jak uzależnienie niszczyło ludziom życie. Mimo że nie znałam tych mężczyzn i kobiet osobiście, ich traumatyczne opowieści sprawiały, że współczułam im z całego serca i było mi po ludzku niesamowicie przykro. Wtedy też zaczynałam zastanawiać się nad sobą i nad tym, czy podejmowałam w życiu właściwe decyzje i skupiałam się na tym, co ważne.

— Brałam przez trzydzieści lat swojego życia. — Mężczyzna parsknął suchym śmiechem. — Trzydzieści zmarnowanych lat. Ale czuję, że powoli z tego wychodzę. Chociaż nie jest łatwo, idzie mi coraz lepiej. Z każdym kolejnym dniem.

— Dziękuję ci bardzo za to wyznanie, Jeremy — odezwał się Bradley, poprawiając okulary na czubku nosa.

Bradley był prowadzącym grupy wsparcia. Widziałam go kilka razy i wzbudzał we mnie pozytywne emocje. Usłyszałam jego historię na jednym z pierwszych spotkań, podczas których towarzyszyłam Chrisowi. Miał ponad czterdzieści lat i niegdyś był prezesem dużej firmy. Przez uzależnienie stracił rodzinę, pieniądze i posiadłość. Tak jak Chris, po wyjściu z nałogu pomagał ludziom podobnym do siebie. Był niesamowicie życzliwy i nigdy nie oceniał.

Dopiłam swojego energetyka, który smakował jak rozcieńczona ropa — a przynajmniej tak wyobrażałam sobie jej smak — i postawiłam puszkę na podłodze obok krzeselka, na którym siedziałam. Oprócz mnie i Chrisa na sali było jeszcze kilkanaście osób w różnym wieku. Z początku czułam się lekko niezręcznie, siedząc z nimi w kole, ale z każdą minutą było coraz lepiej.

Nagle Bradley spojrzał na Adamsa.

— To może teraz ty, Chris — zaproponował z uśmiechem. — Mamy tu nowe osoby, które nie znają twojej historii. Podzielisz się nią jeszcze raz?

Mój przyjaciel, który siedział na krzeselku obok mnie, wyprostował się i bez skrępowania wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Okej, więc mam na imię Chris — zaczął. — I tak naprawdę nie pamiętam momentu, w którym pierwszy raz coś wzięłam. To wszystko stało się strasznie szybko. Miałem piętnaście lat, dużo pieniędzy i chciałem się popisać. — Wzruszył ramionami.

Każdy w pomieszczeniu z uwagą skupiał się na jego kolejnych słowach.

— Nie miałem traumatycznego dzieciństwa. Nie wychowałem się w patologii, wręcz przeciwnie, od zawsze miałem wszystko to, o czym tylko zamarzyłem. Może dlatego mam wyrzuty sumienia. W końcu nie miałem powodu, aby zacząć brać. — Uśmiechnął się blade i spuścił wzrok.

— Doskonale wiesz, że nie potrzeba konkretnego powodu. Masz wyrzuty sumienia? — dopytał spokojnie Bradley.

— Czasem. — Chris znów wzruszył ramionami. — Czuję się jak rozwyrzony szczeniak, który przez własną głupotę przez długi czas niszczył życie sobie i innym... — przerwał i zerknął na mnie kątem oka.

Uśmiechnęłam się ciepło, aby dodać mu otuchy.

— Na początku było to okazjonalne. Jedna tabletką, dwie, a z czasem całe pudełko. Potem się zaczęło. Życie od imprezy do imprezy. Codzienne próbowanie nowego syfu. Nie umiałem zacząć dnia bez kreski i nie umiałem go skończyć bez leków — kontynuował mój przyjaciel, a z każdym jego kolejnym słowem coś coraz bardziej boleśnie zaciskało się na mojej szyi. — Jak masz pieniądze, masz możliwości. W mojej szkole było pełno ludzi, którzy handlowali. Zacząłem okłamywać rodzinę, przyjaciół. Wszystkich. Każdego uznawałem za wroga, bo przecież na haju czułem się szczęśliwy, a wiedziałem, że nikt tego nie zrozumie. Ale nawet to, że się dowiedzieli, nie sprawiło, że przestałem brać. Aż w końcu przedawkowałem.

Zacisnęłam szczękę na wspomnienie tego przekłętego dnia. Tego, co wtedy czułam na myśl, że mogłam go stracić.

— Dopiero wtedy zdecydowałem się pójść na odwyk. Prawdę mówiąc, nie przestałem brać dlatego, że tego chciałem. Przestałem, bo nie potrafiłem patrzeć na cierpienie moich bliskich. — Chłopak przelknął głośno ślinę. — Każdy dzień na odwyku był katorgą i każdego dnia myślałem tylko o tym, żeby powiesić się na kroplówce — wyznał szczerze, a ja z całej siły zacisnęłam powieki. — Ale wyszedłem z tego. Dla siebie. Dla moich bliskich. I jestem szczęśliwy. I dlatego wierzę w nadzieję. Niektórzy mówią, że nadzieja jest dla głupców i ludzi leniwych, którzy szukają usprawiedliwienia. Ale dla mnie jest powodem, dla którego jeszcze żyję. Bo jaki jest sens życia bez myśli, że będzie dobrze?

— To piękne słowa, Chris — skomentował Bradley i spojrzał po reszcie uczestników. — Nadzieja. To właśnie ona jest jednym z najważ-

niejszych czynników w całym procesie terapii. Oczywiście potrzebna jest wasza chęć i działanie, ale nie zapominajmy o nadziei. Nadziei na to, że życie znów może być pełne barw.

Uśmiechnęłam się pod nosem i zacisnęłam palce na dłoni Chrisa. Byłam z niego niesamowicie dumna, że mimo problemów pokonał nałóg i walczył o swoje szczęście.

Chwilę po wystąpieniu mojego przyjaciela między innymi uczestnikami a prowadzącym wywiązała się wymiana zdań i spostrzeżeń. Po kolejnych dziesięciu minutach Bradley spojrział na niską dziewczynę, która siedziała naprzeciw mnie.

— Marsey, może teraz ty chciałabyś się podzielić z nami swoją historią? — zachęcił ją mężczyzna.

Na pierwszy rzut oka ta dziewczyna wydała mi się dość introwertyczną osobą. Nie odezwała się ani razu od początku sesji i byłam pewna, że nigdy wcześniej jej nie widziałam. Miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, atletyczną budowę ciała i piękne blond włosy związane w ciasny warkocz, który sięgał jej mniej więcej do bioder. Z delikatnym, ale chyba wymuszonym uśmiechem poprawiła się na krzeselku, zaciskając dłonie na jej kantach. Wyglądała, jakby czuła się niezręcznie.

— A więc... mam na imię Marsey i jestem tutaj pierwszy raz — powiedziała cicho, nie patrząc dłużej na nikogo. — Wiem, że zdecydowana większość z was przychodzi tu, aby podzielić się swoimi historiami z narkotykami czy alkoholem. Moje uzależnienie polegało na czymś innym. Ale w końcu uzależnienie to uzależnienie, a grupy wsparcia są od tego, aby wspierać, więc... — Wzruszyła ramionami.

Skupiłam się na promieniach słonecznych, które wpadały do sali tanecznej przez wysokie, sięgające do samego sufitu okna.

— Na czym polegało twoje uzależnienie? — zapytał zaciekawiony Bradley.

— Byłam uzależniona od drugiego człowieka — odparła ze spokojem.

Jej słowa sprawiły, że automatycznie na nią spojrzałam, skupiając na niej całą swoją uwagę. Dziewczyna cicho westchnęła.

— Poznałam go, gdy miałam szesnaście lat i byłam nic niewiedzącą o świecie gówniarą. Miał na imię Paris — zaczęła, a na jej wąskich wargach błąkał się dziwny uśmiech. Był przepełniony smutkiem i goryczą, ale wyłapałam w nim cień... nostalgii. — Był starszy ode mnie. Bardziej

doświadczony. Z początku za nim nie przepadałam, ale los cały czas pchał nas w swoje ramiona. Cóż, albo to ja mimo całej swojej niechęci do jego osoby inicjowałam spotkania. Wszyscy mówili mi, żebym dała sobie z nim spokój, bo był złym człowiekiem, ale ja nie słuchałam. Nie chciałam słuchać. Widziałam w nim to, czego nie widzieli inni. To, jak ciepły i czuły potrafił być, gdy zostawaliśmy sami. To, jak się przede mną odkrywał. Nie wiem, kiedy stał się człowiekiem, któremu potrafiłam oddać życie. Z którym czułam się najbezpieczniej na świecie.

Z każdym jej kolejnym słowem czułam coraz mocniej, jak w moje ciało wbijają się małe, ostre igielki. Nie był to rozrywający wnętrzości ból, raczej ten z rodzaju nieprzyjemnych i drażniących. A drażniący dlatego, że przywoływał wspomnienia.

Wspomnienia, które chciałam pogrzebać raz na zawsze.

— Chciałabym powiedzieć, że się w nim zakochałam, ale gdyby tak było, nie siedziałabym tu z wami. Nie jeździłabym po kolejnych lekarzach psychiatrach i nie brałabym leków, które sprawią, że przestanie boleć. Nie. — Uśmiechnęła się blado, a w jej policzkach utworzyły się dwa małe dołeczki. — Naprawdę chciałabym powiedzieć, że go pokochałam. Bo odrzucenie przez osobę, którą się pokochało, wcale nie jest takie straszne. Jest bolesne, ale mimo wszystko pozwala mieć... nadzieję, o której mówiliście. Można mieć nadzieję, że czas coś zmieni.

Marsey przygryzła dolną wargę.

— Może to banalne, ale czas leczy rany. Stan zakochania ustępuje. Może to trwać latami, ale w końcu zapominasz. Zapominasz o tym, jak czułeś się przy tej osobie. Zapominasz o tym, jaką barwę miały jej oczy. Zapominasz, jak pachniała. Zapominasz o dotyku jej dłoni na swoim ciele. Zaczynasz żyć wspomnieniami, ale i one stopniowo się zacierają. Dlatego chciałabym wam powiedzieć, że zakochałam się w Parisie, bo to jest prostsze, ale prawda jest taka, że to nie była miłość. To była obsesja.

Dziewczyna znów wzruszyła ramionami, podczas gdy ja coraz mocniej wbijałam długie paznokcie we wnętrza swoich dłoni. Marsey przeknęła łzy, które pojawiły się w jej oczach, i pokręciła głową.

— Stał się dla mnie tym, czym heroina dla ćpunów. — Prychnęła gorzkim śmiechem. — Nie potrafiłam bez niego funkcjonować. Nie potrafiłam zasnąć, jeśli nie słyszałam jego oddechu. Nie potrafiłam myśleć o niczym ani nikim innym niż on. Chciałam być blisko. Cały czas.

Spełniałam każdą jego zachciankę, co sprytnie wykorzystywał. Byłam na każde skinienie. Popadłam w paranoję. Pomieszkiwałam u niego, mimo że nie byliśmy razem. Za każdym razem, gdy gdzieś wychodził, potrafiłam zrobić awanturę i rzucać się na niego z pięściami. A potem klęczałam przed nim i błagałam, by mnie nie zostawiał. Oddałabym za niego życie, gdyby mnie o to poprosił. Stawiałam go ponad wszystkich innych. Ponad samą siebie. Poświęciłam swoje zdrowie psychiczne, by uratować kogoś, kto nie zasłużył na ratunek. Kogoś, dla kogo byłam jedynie odskocznią. Wyrządziłam tyle krzywd bliskim, bo liczył się tylko on. — Po jej policzku spłynęły dwie łzy.

Przełknęłam ślinę, czując dziwny ucisk w klatce piersiowej. Z całej siły walczyłam z własną głową, która podsuwała mi wspomnienia ostatnich wakacji. Nie mogłam dopuścić do tego, by mnie załazy. Nie mogłam...

— Masz z nim kontakt? — zapytał spokojnie Bradley.

Widać było, że takie wyznania nie były dla niego niczym nowym. Miał w tym doświadczenie.

Marsey pokręciła głową.

— Zakazano mi się z nim spotykać. — Pociągnęła nosem. — Po mojej trzeciej próbie samobójczej. Chciałam powiesić się na jego pasku do spodni, gdy powiedział, że nie chce mnie znać.

Wciągnęłam głębiej powietrze, zastanawiając się, jak to możliwe, że człowiek jest w stanie zniszczyć samego siebie dla drugiej osoby. Czy to było tego warte? Całkowite wyniszczenie psychiki dla kilku chwil pozornego szczęścia?

Nagle dziewczyna uniosła głowę, a jej spojrzenie padło prosto na mnie. Poczułam się nieco niezręcznie, gdy wpatrywała się we mnie, jak gdyby chciała prześwietlić moją duszę. Nagle zacisnęła usta w wąską linię i znów pusto się zaśmiała. Mimo że nie była martwa, nie żyła. I widziałam to.

— I wiecie, co jest najśmieszniejsze? — Parsknęła, unosząc brwi. — Wiem, że mnie nie kochał. Że byłam tylko narzędziem w jego rękach. Ale gdyby stanął teraz obok mnie i powiedział, że mam spalić to miejsce razem z wami wszystkimi, bez zastanowienia wyciągnęłabym zapalniczkę. Bo przy nim byłam wolna.

Zamarłam.

Po spotkaniu Chris podwiózł mnie do domu. Droga zajęła nam niespełna dwadzieścia minut. Byłam nieco nieobecna. Błądziłam wzrokiem za szybą, obserwując mijające nas samochody, podczas gdy mój przyjaciel stale o czymś paplał, zmieniając raz po raz piosenki w radiu.

— Był przystojny, ale strasznie nieokrzesany — skwitował, gdy skończył opowieść o swojej ostatniej randce, pogłaśniając w tym samym czasie radio, z którego rozbrzmiewał głos Justina Biebera. — A ja chcę kogoś kulturalnego. Kogoś eleganckiego. Kogoś, od kogo bije szyk i klasa. Ciekawe tylko, czy taki ktoś w ogóle istnieje.

Pokiwałam głową bez udziału świadomości. Prawdę mówiąc, ani na chwilę nie skupiłam się na jego słowach. Wciąż rozpamiętywałam sesję, a najbardziej wypowiedź Marsey. Po zakończeniu swojej historii dziewczyna po prostu wstała i wyszła. Jej wyznanie nieco speszyło resztę grupy, ale Bradley szybko odwrócił ich uwagę. Nie wiedziałam, dlaczego ta opowieść tak mocno mnie poruszyła.

A właściwie tak sobie wmawiałam. Bo wszystko we mnie miało na ten temat inne zdanie...

— Hej! Słuchasz mnie w ogóle?

Donośny głos Chrisa sprawił, że w końcu wyrwałam się z letargu i popatrzyłam na niego kątem oka. Właśnie wjeżdżaliśmy na ulicę prowadzącą na moje osiedle.

— Wybacz, jestem zmęczona. Mam dość dzisiejszego dnia — mruknęłam.

— Ile spałaś? — zadał swoje standardowe i mocno niewygodne pytanie.

Odcchrząknęłam lekko, poprawiając się na fotelu.

— Jakieś pięć, może sześć godzin — skłamałam gładko, czując, że jeśli powiem mu prawdę, to się wścieknie.

Temat mojego snu i ogólnego funkcjonowania sprawił, że wszyscy się wściekali. Najbardziej denerwowało to moją matkę. Od dziecka miałam spore problemy ze snem. Rzadko kiedy udawało mi się przespać całą noc bez pobudek, ale w ostatnim czasie moje noce zakrawały na dramat. W skrajnych przypadkach nie pomagały nawet tabletki, które brałam w ukryciu, aby odpocząć chociaż przez pięć godzin. Gdy już udawało mi się zasnąć, męczyły mnie koszmary. Bezsenność stawała się moją codziennością.

— Victoria! — burknął coraz bardziej zdenerwowany Chris.

Spojrzałam na niego z irytacją, bo byłam zbyt zmęczona, aby słuchać kolejnej tyrady.

— Niecałe trzy godziny. Zadowolony? Zostawmy ten temat, nie mam zamiaru go znów poruszać — warknęłam, tracąc resztki humoru.

— Nie denerwuj się tak. Po prostu wszyscy się o ciebie martwimy. Nie śpisz, nie jesz, cały czas siedzisz w tych swoich książkach. Twój organizm nie jest maszyną, Vic — moralizował. Spoglądał to na mnie, to na ulicę przed sobą.

Westchnęłam ciężko, ale nijak tego nie skomentowałam. Nie miałam na to siły.

Ucieszyłam się, gdy Adams zaparkował przed moim domem, i szybko chwyciłam torebkę leżącą na moich kolanach. Już otwierałam drzwi, ale zatrzymał mnie głos mojego przyjaciela.

— Możemy o tym porozmawiać? — spytał cicho.

Skrzyżowaliśmy spojrzenia. Piwne oczy Chrisa wwiercały się w moje, jakby chciały mnie przeskanować. Zmarszczyłam brwi, bo czerwona lampka w mojej głowie zaczęła wysyłać sygnały.

— O czym? — zapytałam podejrzliwie, choć znałam odpowiedź.

— Wiesz o czym.

Przełknęłam ślinę, czując mocny ucisk w żołądku. Opuściłam wzrok na deskę rozdzielczą. Wiedziałam, o czym chciał rozmawiać, i ani trochę mi się to nie podobało. Wszyscy starali się nie poruszać przy mnie tego tematu, ale w końcu miałam do czynienia z Chrisem Adamsem. On zawsze robił coś inaczej niż reszta. Tylko że tym razem naprawdę nie miałam ochoty gadać. Ten temat był zakazany i należało o nim zapomnieć.

Czułam na sobie wzrok chłopaka, kiedy z całych sił starałam się telepatycznie przenieść się do swojego bezpiecznego pokoju, z dala od innych ludzi. Niestety mi to nie wyszło, a zmartwiony Chris nadal czekał na moją odpowiedź, którą chaotycznie układałam w głowie.

— Chris, minęło prawie pięć miesięcy — wychrypiałam cicho. Złosiłam się na samą siebie przez to, że mój głos był taki słaby. — Nie wracajmy do tego.

— Tak, i od prawie pięciu miesięcy znikasz mi coraz bardziej — powiedział z goryczą, chwytając moją dłoń i tym samym zmuszając mnie, abym na niego spojrzała.

Pociągnęłam nosem, nagle czując potworne zmęczenie. Bo byłam wykończona. Tak po ludzku. Chciałam po prostu zakopać się w pościeli i przespać choć dwie godziny bez koszmarów. Pójść spać i się wyłączyć. Od tych cholernych pięciu miesięcy próbowałam nie myśleć. Bo myśli to wspomnienia, a wspomnienia bolały.

— Nie chcę poruszać tego tematu — szepnęłam drżącym głosem, zaciskając swoją zimną dłoń na jego ciepłych palcach.

Popatrzył na mnie smutno, a jego zawsze wesołe oczy lekko przygaşły.

Tego też nie chciałam. Nie chciałam widzieć żalu i litości w oczach najbliższych mi ludzi.

— Nie możesz zamykać się na świat przez to, co się stało, kochanie. Od prawie pięciu miesięcy nie wychodzisz z domu, od wakacji... ty po prostu nie żyjesz. Nie możesz tak siebie niszczyć, nawet jeśli cierpisz.

— Nie cierpię — zaprzeczyłam lekko zła.

Uśmiechnął się blade. Nie wierzył w moje słowa. Nikt nie wierzył.

— Nate to zamknięty temat. I wszystko związane z nim również — dodałam cierpko.

Nie wiedziałam, czy starałam się przekonać bardziej jego, czy samą siebie. Chciałam, aby tak było. Chciałam dać sobie czas na to, by zapomnieć. Moi przyjaciele to widzieli i nie naciskali, ale Chris zainspirowany Bradleyem chyba wziął sobie za cel szczere rozmowy od serca, na które nie miałam ani chęci, ani siły.

— Kocham cię, Vic. Bardzo. I nie chcę, żebyś cierpiała. Zamknęłaś się na wszystko. Czasami lepiej o czymś porozmawiać, niż usilnie starać się o tym zapomnieć — odezwał się, posyłając mi pokrzepiający uśmiejch.

Wiedziałam, że miał rację, ale nie potrafiłam. Kiwnęłam głową, a on na szczęście zrozumiał, bo przestał nalegać na rozmowę. Na pożegnanie jeszcze tylko mocno go przytuliłam, wdychając zapach jego perfum, które przywodziły na myśl kawę i las. Wysiadłam z jaguara, machając chłopakowi na odchodne.

Smętnie pokonałam drogę do drzwi. Kiedy ze zwieszoną głową weszłam do domu, czułam już tylko cholerne zmęczenie, przybicie i żal, ale ta mieszanka uczuć i emocji nie była niczym nowym, towarzyszyła mi od września. Powinnam była się przyzwycząić. Po chwili w duchu skarciłam samą siebie za tę chwilę słałości.

Zdjęłam buty i ruszyłam do swojego pokoju. Przechodząc obok pokoju Theo, usłyszałam odgłosy jakiejś gry, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że mój brat już wrócił. Uśmiechnęłam się blado, gdy przekroczyłam próg swojej bezpiecznej sypialni. Tam też nic się nie zmieniło.

Położyłam torebkę na fotelu i usiadłam na skraju łóżka. Siedziałam tak przez dłuższą chwilę w niczym niezmaconej ciszy, gapiąc się pusto w przestrzeń i starając się odsunąć od siebie myśli. Od kilku miesięcy jakoś mi to wychodziło. Pochłonięta nauką, egzaminami i wszystkim innym, co tak naprawdę nic nie znaczyło, wołałam unikać tematu. Prawie pięć miesięcy! A wystarczyło kilka głupich słów obcej dziewczyny i jedna krótka rozmowa z Chrisem, aby cały mój wysiłek poszedł na marne. Niechciane emocje i wspomnienia zdobyły szturmem moją głowę. Od pewnego czasu nawiedzały mnie głównie w snach, a w dzień jakoś udawało mi się zepchnąć je w najdalsze zakamarki podświadomości. Ale tamtego dnia pod wpływem historii Marsey znów wypłynęły na powierzchnię. Wrócił koszmar na jawie.

Znów o *nim* myślałam.

Prawie pięć miesięcy. Minęło tyle czasu od naszego ostatniego spotkania, które było okropnie bolesne i przytłaczające, ale dosadnie uświadomiło mi, kim dla niego byłam. Wkręciłam się w tę popieprzoną relację za bardzo i to był zdecydowanie mój błąd. Prawda była taka, że sama byłam sobie winna. Ale kiedy postawiłam mu ultimatum, a on bez zastanowienia wyszedł, pozostawiając mnie samą... To bolało. Cholernie bolało.

Doskonale pamiętałam tamten moment i to wszystko, co stało się potem. Gdy mnie zostawił, zapłakana wróciłam do domu i wpadłam w objęcia mamy, która zdezorientowana zaczęła mnie pocieszająco głaskać po głowie i przytulać. Prosiła, żebym powiedziała, co się stało. Ostatni raz tak żałośnie czułam się, gdy patrzyłam na drzwi, które zamknęły się za tatą w dniu, w którym nas zostawił. Po jego odejściu płakałam bardzo długo, leżąc w ciemnym pokoju na łóżku i ściskając poduszkę mokrą od łez, aż w końcu zasnęłam z wycieńczenia. A noc po spotkaniu z Nate'em była drugą najgorszą nocą mojego życia. Milczałam przez kilkanaście godzin, nie chcąc się z nikim widzieć. Trwałam, zapominając o życiu. Bo cholernie bolało mnie to, że tak ważny dla mnie chłopak, dla którego zaryzykowałam, mając w perspektywie wyjazd za karę na inny kontynent,

po prostu mnie zostawił. Nasza wielomiesięczna znajomość nie była dla niego nawet w jednej czwartej tak ważna jak dla mnie, bo nigdy, nawet przez chwilę, nie byłam dla niego nikim szczególnym, dokładnie tak, jak powiedziała mi to wcześniej Jasmine. A ja jej nie wierzyłam...

Nikomu nie powiedziałam, co dokładnie zaszło między mną i Nathanielem. Nawet Mia i Chris nie wiedzieli. Zdawali sobie sprawę jedynie z tego, że nasza znajomość się bezapelacyjnie zakończyła. Plusem tej całej sytuacji było chyba tylko to, że moje kontakty z mamą uległy znacznej poprawie. Bo to ona leżała ze mną na łóżku, czule mnie obejmując, gdy przez kilka godzin płakałam jej w ramię. Nie odezwała się ani słowem. Tylko mnie przytulała i głaskała moje posklejane od łez i potu włosy. Robiła to, choć rzuciłam jej prosto w twarz, że dla mnie nie była już matką. Ani razu o tym nie wspomniała. Była cały czas przy mnie ze swoim kojącym dotykiem i zapachem, który przynosił mi poczucie bezpieczeństwa.

Jej też nie wyznałam, co się stało. Powiedziałam tylko, że tym razem na dobre zakończyłam znajomość z Nathanielem Sheyem. Nie drążyła, nie skomentowała, po prostu kiwnęła głową, nie pytając o nic. Wyjazd do Australii odszedł w zapomnienie. Pewnie dużą zasługę miał w tym Erik, który mi to obiecał.

Finałowe starcie w Death Fight nie przebiegło tak, jak wielu by tego oczekiwało. Pierwsza o walce bardzo zwięźle opowiedziała mi Mia, która przyszła do mnie w pierwszym tygodniu września, gdy jeszcze nie chodziłam do szkoły. Ona i Chris, a nawet Theo starali się porozmawiać ze mną w tamtym czasie, ale nie miałam ochoty się z nikim widzieć. Dopiero po dłuższej przerwie zdecydowałam się spotkać z Roberts. Streściła mi krótko przebieg walki, o którym opowiedział jej Luke. Nie wspominała o szczegółach, za co byłam jej wdzięczna.

W połowie trzeciej rundy na halę, na której odbywał się finał, wpadła policja. Zabrała tych, którzy nie zdążyli uciec. Potem było jeszcze kilka spraw w sądzie, w tym i Nate'a, ale go nie zamknęli. Zajście było naprawdę poważne, wiedziało o tym prawie całe Culver City, a nawet sąsiadujące z nim miasteczka. Walka została przerwana i nikt nie stracił w niej życia, chociaż podobno było później kilka nieoficjalnych spotkań zawodników. Nie interesowałam się tym i nie zamierzałam słuchać na ten temat, więc nikt mi nic nie mówił.

Może właśnie dlatego nie chciałam nic więcej wiedzieć. Nathaniel nie stracił życia, nie walczył do końca i nie poszedł do więzienia, a mimo wszystko... nie odezwał się. Ani razu.

Głupio liczyłam, że to zrobi. Ulga, jaka mnie ogarnęła w momencie, gdy dowiedziałam się, że nie jest ani trupem, ani mordercą, była nie do opisania. Tak bardzo się cieszyłam, że przeżył. Na chwilę przyćmiło to fakt, że w ogóle przystąpił do walki. Czekałam. Nie wiem, na co liczyłam. Że zadzwoni? Że będzie starał się to jakoś wyjaśnić?

Ale on milczał. Cały wrzesień żyłam głupią nadzieją, chociaż nie miałam pojęcia, czybym mu w ogóle wybaczyła. To, jak mnie zostawił. Ale to nie było wszystko, bo przecież... cholera, on naprawdę wszedł na ten ring! Był w trakcie trzeciej rundy i chciał walkę wygrać. Chciał... był w stanie zabić drugą osobę! I w ostatecznym rozrachunku nie wiedziałam już, co bolało mnie bardziej: to, że wybrał walkę, czy to, że chciał odebrać komuś życie.

Gdy nastał październik, a ja dalej nie dostałam ani jednej wiadomości, zrezygnowałam. Ze wszystkiego. Głupia nadzieja, o której tak przekonująco opowiadał Chris, opuściła mnie. Musiałam wymyślić coś, co zajmie moją głowę, więc zatonęłam w nauce, aby zapomnieć o Nathanielu, który wtargnął w moje życie jak huragan. Przeszedł przez nie i zniknął, pozostawiając ruinę. Tak minął cały październik. Później listopad i grudzień, aż w końcu nadszedł styczeń, a wraz z nim nowy rok. Powoli przyzwyczajałam się do życia bez ciętych żartów, szalonych pomysłów i introwertycznej natury Sheya. Siedemnaście lat dawałam sobie radę bez niego. Było to możliwe.

Powrót do szkoły był trudny, szczególnie że wróciłam do niej tydzień po rozpoczęciu roku, a wszyscy wiedzieli o walkach i o mojej relacji z Nathanielem. Widziałam ukradkowe spojrzenia, słyszałam szepty, czułam ciekawość innych uczniów i wiedziałam, że mnie oceniają. Szczerze, mało mnie to w tamtych trudnych chwilach obchodziło, ale mimo wszystko irytowało. Bardzo pomagali mi moi przyjaciele. Nie zostawili mnie i szybko ucinali krążące po szkole plotki. Chris przez swoją pozycję miał posłuch i nikt nie chciał mu podpaść, dlatego z czasem przestało być głośno o mnie i Sheyu.

Minęło prawie pięć miesięcy, a to wszystko wciąż bolało. Żadnej wiadomości, nic. Żadnej próby kontaktu. Całkowite odcięcie.

Nathaniel Shey zniknął z mojego życia. Bezpowrotnie.

Zacisnęłam powieki i cicho westchnęłam. Przeniosłam zmęczony wzrok na ostatnią szufladę komody wykonanej z białego drewna. Zamyśliłam się, odczytując cytat na kartce, która była na niej zawieszona.

Dzisiaj jesteśmy inni niż wczoraj. Jutro będziemy inni niż dziś...

— „Ale i tak skończymy w piekle, bo piekło na nas czeka” — odpowiedziałam cicho pod nosem, nawet nie pamiętając, skąd ten cytat wziął się w mojej głowie.

Bez zastanowienia wstałam. Chwiejnym krokiem podeszłam do komody, czując się jeszcze słabiej niż kilkanaście minut wcześniej.

Schyliłam się i zdrętwiałą dłonią pociągnęłam za rączkę szuflady. Moje serce zamarło, gdy zobaczyłam czarno-złote rękawice z walki Nate’a z Codym Nixonem. Patrzyłam na czysty materiał, czując kropelki potu na plecach. Dokładnie pamiętałam moment, gdy mi je przekazał, pokazując, że wygrał dla mnie, że należałam do niego. A potem, po Vegas, nieśmiało myślałam, że to on był mój... Ależ ja byłam głupia.

Moją uwagę przykuł biały pendrive leżący obok rękawic. Zacisnęłam wargi w wąską linię. Czułam, że popełniam błąd. Nie powinnam była do tego wracać i się tym katować. Znowu przechodzić przez to piekło. Ale słowa Marsey sprawiły, że tak bardzo chciałam to poczuć. Chwilowe, złudne szczęście. Nieważne, że potem miałam cierpieć. Musiałam to zrobić.

Szybko złapałam pendrive’a i podeszłam do łóżka. Otworzyłam różowego laptopa leżącego na materacu i wcisnęłam przenośną pamięć do odpowiedniego wejścia. Mój oddech znacznie przyspieszył, kiedy czekałam, aż załadują się foldery. Nagle dopadły mnie wątpliwości. Pięć miesięcy leczyłam się z tego chorego stanu, aby tak po prostu to zaprzepaścić? Tak szybko? Zacisnęłam szczękę i już miałam odpiąć pendrive’a, aby schować go do szuflady na następne pięć miesięcy, a najlepiej pięćset lat, gdy na pulpicie wyświetlił się *ten* folder. Wtedy zrozumiałam, że przegrałam.

Z gulą w gardle najechałam na ikonkę opisaną jako *LAS VEGAS 2016*. Kliknęłam.

Zamglonym wzrokiem wpatrywałam się w miniaturki zdjęć i filmików z naszego pamiętnego wyjazdu do Vegas. Jeszcze w sierpniu Mia dała mi tego pendrive’a, żebym je pooglądała, ale ciągle miałam coś

na głowie i finalnie nigdy tego nie zrobiłam. Wrzuciłam go do szuflady i zapomniałam, że w ogóle istniał.

Czy zawsze najlepsze wspomnienia były również tymi najboleśniej-szymi?

Położyłam laptopa na kolanach. Kliknęłam pierwszą ikonkę i na całym ekranie pojawiło się zdjęcie Laury zrobione telefonem jeszcze przed domem Chrisa, zanim przyjechali po mnie. Dziewczyna w okularach przeciwsłonecznych siedziała na swojej walizce, układając usta w dzióbek. Za nią było widać Scotta, który szedł w stronę domu Adamsa, a Luke opierał się o maskę swojego audi. Byli tacy szczęśliwi. *My* byliśmy tacy szczęśliwi.

Moje relacje z przyjaciółmi Nathaniela niestety się popsęły. Przyczyna była prosta. Sam ich widok za bardzo przypominał mi o Sheyu. I choć starałam się jakoś to przełamać, bo oni naprawdę mnie wspierali, nie mogłam. Ostatni raz rozmawiałam z nimi przez telefon na krótko przed świętami. Zadzwoiłam, by złożyć życzenia. Mia i Chris dalej się z nimi trzymali, byli nawet razem na sylwestrze, który ja obchodziłam w domu, odsypiając grudzień. Było mi cholernie szkoda naszej znajomości, ale stwierdziłam, że tak będzie lepiej. Wybrałam całkowite odcięcie się od wszystkiego, co było związane z Sheyem. Z całym jego światem, w który tak się wtopiłam. Ze wszystkim. Musiałam naprawić w sobie to, co przez niego zepsułam.

Kolejne zdjęcia wywołały blady uśmiech na mojej twarzy. Widok Laury Moore, Matta Donovanana, Luke'a Mitchella i Scotta Hayesa śmiejących się i wygłupiających był dla mnie równie cudowny, jak bolesny. Dotarło do mnie, jak bardzo mi ich brakowało.

A potem przeszedłam do kolejnego zdjęcia i w jednej sekundzie moje serce się zatrzymało.

Cyfrowa fotografia przedstawiała mnie i Sheya na jednym z parkingów, na którym robiliśmy postój. Staliśmy obok siebie, paląc papierosy. Chłopak robił coś w telefonie, a ja patrzyłam w niezidentyfikowany punkt przed sobą. W tle widniał czerwony mustang Nate'a, za którym tak bardzo tęskniłam i którego nie widziałam już tak długo. Wpatrywałam się w zdjęcie, zaciskając dłonie w pięści. Pochłaniałam obraz Nathaniela, który tak mocno wyrył się w mojej pamięci. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał krótko ścięte ciemnobrązowe włosy. Kilka kosmyków zawsze opadało mu

na czoło... Czarne jak węgiel oczy, szlachetne, ostre rysy twarzy, niezbyt pełne, ale kształtne usta, prosty nos, duże dłonie, kilka małych blizn na twarzy, niski i zachrypnięty głos, cyniczny uśmieszek...

— Nie — skarciłam samą siebie, przełączając zdjęcie na Scotta robiącego głupią minę podczas tankowania SUV-a.

Wielu mogłoby zapytać, dlaczego to ja nie zadzwoniłam. Dlaczego nie zrobiłam pierwszego kroku. Odpowiedź była jasna. Miałam swoją dumę i honor. Shey dał mi jasno do zrozumienia, kim dla niego byłam. Nie zamierzałam się przed nim płaszczyć, szukać na siłę kontaktu. Zbyt mocno cierpiałam, a on po prostu milczał. Był w Culver City i nie dał znaku życia. Czułam się rozżalona i zła. Czy po tym wszystkim powrót do jakiegokolwiek relacji byłby w ogóle możliwy?

Przez następne dwadzieścia minut oglądałam zdjęcia i filmiki, chłonąc każdy szczegół. Uśmiechałam się z bólem serca sama do siebie, gdy wracały do mnie te wszystkie piękne chwile, w których było tak dobrze, a które tak szybko minęły. Zdjęcia chłopaków na kacu gotujących rosół z torebki i robione bardzo przypadkowo selfie trochę poprawiły mój fatalny humor. Parsknęłam głośnym śmiechem, gdy na ekranie wyświetliła się fotografia, na której byłam ja, w niedzielne popołudnie, totalnie skacowana, w krótkich spodenkach i białej koszulce, ze z mordowaną miną. Trzymałam w dłoniach kubek z herbatą i patrzyłam na konającego na podłodze Parkera. Nie wiedziałam, że ktoś robił mi zdjęcie.

Następny był filmik. Odpaliłam go, krzywiąc się na głośne szumy, szmery i słaby flesz. Dopiero po chwili zrozumiałam, że to był filmik z klubu. W kadrze byłam ja razem z Nathanielem. Znajdowaliśmy się w łóżku, a na kanapie obok nas leżał pijany Chris. Światła cały czas migotały, a rozmowy ludzi mieszały się z bitem dobiegającym z głośników. Zmarszczyłam brwi. Nie pamiętałam tego momentu. Zaraz potem zdałam sobie sprawę, że to była ta część imprezy, kiedy prochy przejęły kontrolę nad moim mózgiem. Na samą myśl o tym wzdrygnęłam się. Jak mocno musiałam upaść na głowę, aby wziąć coś od nieznannej osoby!

— Victoria! Powiesz coś do widzów?! — krzyczała do mnie Mia, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że to ona nagrywała telefonem ten chaotyczny film.

Spojrzałam na samą siebie chwiejnie odwracającą się w stronę obiektywu. Byłam naprawdę otumaniona.

— Kocham Las Vegas! Bardzo! — rozdarłam się ochryple.

Moje czerwone od flesza oczy dziwnie błyszczały. Uśmiechałam się do telefonu, a w tle zupełnie nieprzejęty Mią Nate kiwnął głową i wyzerował swojego szota. W międzyczasie Laura przeszła przed aparatem, pokazując język.

Zmarszczyłam brwi, gdy zobaczyłam, jak Shey bez zastanowienia zrobił krok w moją stronę, a potem, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy, objął mnie jedną ręką w talii. Przyciągnął mnie do swojego boku, na co parsknęłam głośnym śmiechem i zarzuciłam mu ramiona na kark. Chłopak położył swoje duże dłonie na dole moich pleców.

Na samo wspomnienie jego dotyku przymknęłam powieki. Dlaczego to sobie robiłam?!

— Nate lubi Victorię! — krzyknęła Mia, a ja otworzyłam oczy.

Na jej słowa Nate uniósł środkowy palec w stronę kamery, nawet na nią nie patrząc i nie komentując.

— A czy Victoria lubi Nate'a? — zapytała pijacko Mia.

— Absolutnie! — odkrzyknęłam.

Potem zobaczyłam jeszcze, jak Nathaniel nachylił się nieco w moją stronę, gdy mówiłam coś do jego ucha. Kiwnął głową, a na jego wargach wykwitł ten głupi uśmieszek, który nie zwiastował niczego dobrego. Niestety nie usłyszałam, co mu powiedziałam. Filmik się skończył.

Westchnęłam ciężko, zamykając klapę laptopa. Pociągnęłam nosem, przyciągając nogi do klatki piersiowej.

Problem ze wspomnieniami, w których byliśmy szczęśliwi, polegał na tym, że były to tylko wspomnienia. Nie mogliśmy wrócić do tego stanu ot tak, na pstryknięcie palcami. Dlatego wspomnienia bolały, przynosiły smutek. Przypominały o tym, co przeżyliśmy i co nas ukształtowało.

Ale tamtego dnia, gdy przeglądałam te przekłete zdjęcia, oddałabym wszystko, aby pozbyć się wspomnień co do jednego. Chciałabym, by ktoś magicznie mi je odebrał. Tak bym już nigdy nie myślała o tym chłopaku z oczami czarnymi jak ocean nocą. O chłopaku, którego nie było już w moim życiu. Bo on wybrał. Wybrał swoje życie, w którym to dla mnie nie było miejsca.

I musiałam w końcu się z tym pogodzić.

Kręciłam się w łóżku już dobrą godzinę. Nie dziwiło mnie to, że znów nie potrafiłam zasnąć pomimo okropnego zmęczenia. Po kolejnym odwróceniu poduszki na zimną stronę zdecydowałam, że nic z tego. Zapaliłam lampkę nocną, zrzuciłam z siebie kołdrę i wstałam z materaca. Podeszłam do fotela obok okna i usiadłam na nim. Zerknęłam na czarne niebo, na którym nie widziałam ani jednej gwiazdy. Było tak ponuro.

Nie obchodziło mnie to, że był środek tygodnia, a ja pierwszy raz od dawna nie byłam przygotowana na następny dzień do szkoły. W tamtym momencie po prostu w ciszy myślałam nad swoim życiem. Nad relacjami, które nieco zaniedbałam.

— Vic, czemu nie śpisz?

Wzdrygnęłam się lekko, słysząc głos mamy.

Odwrociłam się w jej stronę w momencie, gdy wchodziła do mojego pokoju.

— Jakoś nie mogę zasnąć — odparłam, powracając do obserwowania nieba.

Joseline podeszła bliżej, po czym usadowiła się na skraju mojego łóżka naprzeciwko mnie. Westchnęłam, czując zmianę atmosfery. Chciała rozmawiać.

Dlaczego w tamtą felerną środę wszyscy nagle chcieli rozmawiać?!

— Victoria, co się dzieje? — zapytała poważnie.

Nie odpowiedziałam. Zamiast tego spojrzałam na nią z nieodgadnioną miną. W bladym świetle nocnej lampki dobrze widziałam jej podkrążone oczy. Martwiła się. Miała na sobie swój długi, biały szlafrok, a jej włosy tak jak rano były splecione w warkocz, co oznaczało, że szła właśnie spać.

— Z czym? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie. — O co ci chodzi? Przecież nic nie zrobiłam.

— Właśnie o to chodzi — szepnęła i choć chciała utrzymać na twarzy uśmiech, wypadło to blado. — Od kilku miesięcy nic nie robisz.

— Nie rozumiem. — Nieco się oburzyłam. — Przecież moje oceny są...

— Z dnia na dzień znikasz coraz bardziej — przerwała mi, powtarzając to, co powiedział mi wcześniej Chris. Zrozumiałam, że nie chodziło jej o szkołę. — Unikasz rodziny i przyjaciół, zamykasz się w swoim pokoju i z nikim nie rozmawiasz, nie wychodzisz z Mią i z Chrisem... Nie pamiętam, kiedy ostatni raz słyszałam, jak szczerze się śmiejesz. Skarbie, co się dzieje?

Westchnęłam ciężko. Czy oni wszyscy naprawdę musieli mi pokazywać, jak żaloszny obraz sobą prezentowałam? Dlaczego czegoś ode mnie chcieli? Dlaczego oczekiwali, że będę im się ze wszystkiego spowiadać? Mogłam mieć swoje sekrety i swoje zmartwienia. Płacili im za zgrywanie psychologów czy jak?

— Nic mi nie jest, mamó — burknęłam sucho, chcąc zakończyć temat.

I tak myślałam nad tym wszystkim zdecydowanie zbyt długo. Nie chciałam jeszcze przechodzić sesji terapeutycznych ze swoją matką. Wystarczyły te w mojej głowie.

Joseline westchnęła, poprawiając się na materacu. Wbiła we mnie mocne spojrzenie, kręcąc głową.

— Vic, wiem, że nie zawsze byłam dobrą matką — mruknęła cicho, co nieco mnie zdziwiło, ale nijak tego nie skomentowałam. Miała rację. — Nie okazywałam ci wsparcia wtedy, gdy tego potrzebowałaś. Zamiast tego chciałam kierować twoim życiem, nie pytając cię o zgodę. Przepraszam cię za to z całego serca, kochanie. Obiecuję, że nigdy więcej tak nie postąpię i będę akceptować wszystkie twoje decyzje, które odpowiedzialnie podejmiesz, bo wiem, że już zmadrzałaś. Kocham cię i pragnę dla ciebie jak najlepiej, ale to twoje życie. Chcę tylko, abyś wiedziała, że zawsze będę stać murem za tobą, dobrze? Zawsze.

W szoku patrzyłam na mamę, która wydawała się w pełni poważna. Nie wiedziałam, co takiego w nią wstąpiło, że powiedziała to, co powiedziała. Kompletnie nie spodziewałam się takich słów. Zdezorientowana patrzyłam, jak się uśmiechnęła, po czym dotknęła ciepłą dłońią mojego policzka. Pogłaskała mnie po nim i wstała z miejsca.

— Ja idę spać. Tobie też radzę, bo nie da się żyć tylko na kawie — szepnęła. Ruszyła w stronę wyjścia, ale kiedy znalazła się przy otwartych drzwiach, ponownie odwróciła się w moją stronę. Spojrzała na mnie z dziwnym uśmiechem. — Która godzina?

Dalej lekko zaskoczona jej przemową popatrzyłam na budzik stojący na szafce nocnej.

— Pięć minut po północy.

Mama kiwnęła głową.

— W takim razie wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Victorio.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Niech świat płonie w ogniu, który rozpaliliśmy

Victoria Joseline Clark próbuje żyć nowym życiem. Życiem, w którym nie ma miejsca na chaos i mrok. Na problemy, krzyki, niepewność i strach. Na ból duszy i ciała. Na to wszystko, co wniósł w nie Nathaniel Shey. Tyle że nie jest łatwo uwolnić się od magii spojrzenia czarnych oczu tego toksycznego chłopaka, nawet jeżeli osiemnastolatka już wie, że ich głębia może mieć zabójczą moc. Nie ma cudownego klawisza, po którego naciśnięciu można wykasować wspomnienia. Te złe, ale też te dobre. Victoria odcina przeszłość i usuwa jej ślady — choćby za cenę zerwania znajomości, zbyt mocno przywołujących pamięć minionych miesięcy...

Niestety, to nie działa.

Nathaniel Shey nie chce odejść, mimo że właściwie odszedł już dawno. Przeszłość jest jak kotwica, trzymająca życie Victorii na uwięzi i niepozwalająca jej ruszyć ku przyszłości. A kiedy Nate nagle, po pięciu miesiącach rozłąki, staje na drodze dziewczyny, płomień, który cały czas się tlił, rozpala się na nowo. Piękny i niszczycielski.

Możesz zamknąć oczy, ale to nie sprawi, że świat zniknie

Patroni medialni:



 **editio red** / editio.pl

beyA 18+
beya.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint
ISBN 978-83-283-9065-2

9 788328 390652

Cena: 49,90 zł